

„Wiwiana”

Mały, świecący punkcik błysnął jasno na niebie, a potem po prostu runął w dół, zostawiając za sobą maleńką, świetlistą smugę. Przedmiot spadał prosto na budynek otoczony żywopłotem, znajdujący się gdzieś w małej, polskiej wsi. Konkretniej? Na mój dom. Zbliżał się z naprawdę ogromną szybkością. W końcu uderzył w dach.

Mniej więcej wtedy wstałem od komputera, żeby zejść do kuchni po coś do jedzenia. Byłem w połowie drogi do drzwi, kiedy to... coś z prędkością błyskawicy przeleciało obok mojego ucha. Nie było to nic dużego, początkowo uznałem, że to pocisk. To znaczy... zrobiłbym to, gdybym nie odskoczył przerażony na bok z szybko bijącym sercem. Przedmiot przebił sufit zostawiając w nim mały, poczerniały, lekko dymiący otwór. W podłodze był identyczny.

Przez chwilę stałem w miejscu w otępieniu wpatrując się w miejsce zniknięcia przedmiotu. Potem po prostu biegiem ruszyłem na dół, zobaczyć co to do jasnej cholery było.

W centrum salonu (zielono-pomarańczowe ściany, dużo kwiatów, sofa i stół, no wiecie, taki typowy salon połączony z jadalnią) znajdował się mały, dymiący krater. Wyobraźcie sobie jakiś losowy amerykański film ze spadającym meteorytem w środku, a potem pomniejszcie miejsce kolizji jakieś milion razy, dodajcie rozbitą podłogę i wszystko będzie idealnie. Chociaż... Pod nami była piwnica, pewnie całkiem sporo fundamentów i zwykłego gruntu. Czemu przedmiot zatrzymał się na podłodze niewiele cieńszej od dachu i sufitu?

Podszedłem do miejsca kolizji ostrożnie i ... cóż. Niczego nie znalazłem. Dziwne, co? Ja byłem zaskoczony o wiele bardziej niż Wy, uwierzcie mi. Coś wpada do mojego domu, rozwała dach i piętro, a potem nagle znika, w jakiś niepojęty sposób pokonując znane mi prawa fizyki. Serio byłem kompletnie zagubiony i nie wiedziałem, co się teraz stanie. Kiedy zacząłem się rozglądać za tym zagadkowym czymś, to (o dziwo!) samo do mnie przyszło.

To nie było coś. To był naprawdę mały ktoś.

Miała rozmiar zaciśniętej pięści. Na jej ramionka opadały trochę poplątane, rude włosy, na głowie znajdowała się złota korona, a cała jej postać owinięta była kocem spod którego wyzierały malutkie, przezroczyste, niebieskawe skrzydełka.

Wierzcie lub nie, ale to była wróżka. Nie będę miał Wam za złe, jeśli nie dacie rady. Ja nadal średnio w to wierzę, chociaż to wszystko przeżyłem.

Przez chwilę znowu stałem oniemiały, nie mogąc uwierzyć w to co widzę. Istotka po prostu szła z kuchni w stronę krateru niosąc w rękach o wiele za duży jak na jej posturę kawałek sera. Gdy mnie minęła, uśmiechnęła się niepewnie i błysnęła zielonymi diablami w oczach.

Otwarłem usta, by coś powiedzieć, ale ona po prostu weszła w środek krateru, zapaliła się i z niesamowitą prędkością runęła w dół przebijając podłogę na wylot. Wydawałoby się, że nigdy się nie zatrzymała. Ale przecież tak było! Widziałem to. Pobiegnę na dół, do piwnicy.

Nie powiedziała jak ma na imię. Upadek o dziwo przeżyła bez szwanku... Cóż. Samo w sobie przeżycie go było dużym osiągnięciem. No i...hm. Była wróżką? Nie wiem jak Wasz, ale wskaźnik mojego licznika niezwykłości już dawno przekroczył skalę. Nie wiedziałem, jak się zachować i po prostu wpatrywałem się w jedzącą wróżkę. Ona z policzkami pełnymi jedzenia odpowiadała mi tym samym.

- Więc... Co tutaj robisz?

Wiem, że to nie jest specjalnie ambitny sposób na rozpoczęcie rozmowy, ale jak często zdarza Wam się rozmawiać z rudą wróżką w kocu i koronie? Nie uwierzycie, ale ja nie przeżywam takich przygód codziennie. W ogóle do tamtej pory nie przeżywałem.

-... - Istotka wpatrywała się we mnie wciąż przeżuwając spokojnie jedzenie. Nie byłem pewien czy się mnie boi, czy w ogóle nie rozumie, co mówię, czy... Jaki jeszcze powód może mieć ktoś, kto przebił dom na wylot?

Zażenowany podrapałem się po głowie i odwróciłem wzrok niby rozglądając się po biurku, na którym siedziała wróżka i leżała masa śmieci (papiery, papierki, kubki po jogurtach, talerze, itd.), którymi po prostu uwielbiałem się otaczać. Mój wzrok padł na laptopa, w którym zaczynałem pisać opowiadanie na jakiś tam konkurs. Oczywiście w ostatnim terminie. Westchnąłem, bo jakoś nie miałem w tym momencie w ogóle ochoty i hm... weny? Powód tego stanu w tej chwili wskazał na ekran komputera:

- Co to? – zapytał Rudzielec.

- Moje opowiadanie – uśmiechnąłem się strasznie niepewnie i spojrzałem na ziejący białą dokument w Wordzie. – Pewnie nie ześlesz na mnie magicznej weny, co?

Wróżka pokiwała radośnie główką, uśmiechnęła się złośliwie na widok mojej zaskoczonej miny, a potem pstryknęła paluszkami.

I nagle zniknąłem. Ot tak. Wokół była ciemność i cisza. Taka absolutna, wiecie. Albo nie... Nieważne. Wbrew wszystkiemu wybuchnąłem śmiechem. Zaskoczył mnie mały cwaniaczek. Wokół błysnęły jakieś światełka, a potem mój głos zabrzmiał zwielokrotniony ze wszystkich stron. Gdzieś nade mną usłyszałem chrupot gryzionej babeczki. Mhm.

Zrobiło się jasno. A potem naprawdę się zrobiło.

Byłem narratorem we własnej głowie. Nie takim jak do tej pory, w tym konkretnym opowiadaniu. Byłem tym wszechmocnym typem z pakietem wszechwiedzy i wszechmocy. Takim malusieńkim bogiem we własnej historii. I wiecie co? Zacząłem opowiadać historię tego opowiadania. Tak jakby do tego miejsca. Teraz wszystko się skończy, bo tak powiedziałem.

Puf.